

Temida L. Stankiewiczówna:

– Czym właściwie jest aktorstwo?

Irena Eichlerówna: – Właśnie nie wiadomo czym.

Kiedys – według mnie – prawdziwe aktorstwo, w najzdrowszym sensie – to była autentyczność indywidualności, osobowości. Aktorzy ją mieli, jak również i wyobraźnię. Byli prawdziwi, istniała prawda wypowiedzi, jakaś jej czystość nie obciążona brudami codziennymi. Sztuka aktorska była twórcza.

– **Maria Czanerle kiedys porównała panią do artysty snycerza, „który z bryły kamienia czy drewna potrafi wyrzeźbić dzieło sztuki. Byłoby jej temat odpowiadał”.**

– Duże słowa.

– **Śledząc role, które pani grała, nie można oprzeć się refleksji, iż pani wielkim tematem jest – nazwijmy to – kobiecość. Swoje kobiety obdarza pani olbrzymim instynktem życia.**

– Zapewne obdarza je tym i autor. Ważne jest, aby potrafił dostrzec i wydobyc te cechy czy właściwości. Są one zapewne wieczne. Zresztą takie cechy i właściwości albo się ma, albo nie. Trudno je chować w kieszeni i nikomu nie pokazywać.

– **Mówi się, że pani postaci sceniczne zyskują samodzielność i stają się niemal monodramatami.**

– Jak to pięknie i życzliwie ze strony tych, którzy tak mówią... Dziękuję! Bo znaczy to, że postaci żyją i chodzą sobie swobodnie w pamięci ludzkiej.

– **Zarzucono pani niejednokrotnie, że nie szanuje autorów. Nikogo – reżyserów, partnerów, scenografów, nawet dyrektorów, że sama sobie wybiera role, opracowuje teksty, sama projektuje sobie kostiu-**

my, w ogóle sama siebie reżyseruje.

– A może to zbyt dobre, aby było prawdziwe? Widzę, że chodzi o jakiś generalny teatralny rachunek sumienia. Ostatnio w audycji radiowej (zdaje się „Muzyka nocą”) słyszałam bardzo interesujące wypowiedzi o plotce. Ktoś po męsku radził, aby się nie przejmować, a wręcz ośmieszać plotki wyolbrzymiając je. Wydaje mi się, że stąd można by wywieść pozytywne hasła, na przykład: „dokładać ile się da” albo „kto żyw niech dokłada”. Oczywiście, chociaż śmieszają mnie plotki, ale jakoś nie przychodzi mi do głowy nic takiego, co mogłabym do tego nadmiaru szczęścia (komentarzy), jakiego doznaję jeszcze – „dotożyć”. Więc może jednak coś ująć? Bo i któż jest w stanie ponosić odpowiedzialność za wszelkie zarzuty zbyt niskiej natury, wynikłe z pobudek obliczanych – jak to u nas nagminnie bywa – „na utrącanie” niedogodnych komuś osób? Ale to prawda, że trzeba mieć za co szanować i uznawać ludzi. A szanować dyrektorów, chyba, jakoś nie ma za co. Tych, których szanowałam, ho-



„Poczucie krzywdy”

noruję niezmiennie, jak również i scenografów. Zawsze najbardziej szanuję autorów i partnerów – utalentowanych. A reżyserów nawet lubię – zwłaszcza logicznych. Logika bowiem – nie tylko w teatrze – to potęga. Zupełnie mi nie odpowiada ponoszenie odpowiedzialności za to, że od tak dawna biedne teatry pozbawione są materiałów na kostiumy do sztuk teatralnych. Często proszono – i nie tylko mnie – na przykład w telewizji, aby używać sukni własnych (zresztą „honorowo”). Nie każdy ma ochotę „ogrywać” swoje własne stroje.

– **Śpiew, zaśpiew, zawieszanie głosu, intonacje i pauzy, to właśnie teatr Eichlerówny. Czy świadomie i celowo wykreowała pani sobie taki teatr? Czy też pani sposób gry wynika z przyjętego modelu?**

– Nie wiem, co to jest „model” i co „zewnętrzność”. W aktorstwie – to przecież naśladownictwo. Zawsze istnieją jakieś indywidualności, jak i lichota ich naśladownictwa. Nigdy nie robię powierzchownych – tak czy inaczej – wykrzywionych masek. Postaci buduje się wewnątrz, według wszelkich przesłanek zawartych w tekście autora. I ta budowa uzależniona jest od charakteru danej postaci, jej intelektu i emocji. Moje dobudowy, rozszerzenia, powiększenia (to nie zewnętrzne wykrzywienia fałszywie wykonanych zewnętrznosci) są za-

wsze utrzymane w charakterze danej postaci. A w każdym języku poezja, wiersz to rytm i melodia. Inaczej – to drewna rąbana. Za najbardziej melodyjne, „muzyczne” języki świata uważa się rosyjski i włoski. Potem chyba francuski. To mi przypomina, jak niegdyś bardzo obrazili się na mnie Gielgud, grający w Londynie Prospera w „Burzy” Szekspira (w reżyserii Petera Brooka), kiedy powiedziałam mu, że dzięki jego interpretacji słyszy się, że język angielski jest jednak melodyjny. Aż wykrzyknął, tak się oburzył, że tego nie wiedziałam. Wolał: „angielski jest bardzo melodyjny!” Korzystając z tego przykładu, i ja teraz wykrzyknę z oburzenia: czy Polacy nie wiedzą, że język polski zarówno w wierszu, poezji i wielkim repertuarze – jest melodyjny?! I że to wpływa z wewnętrznych przeżyć i emocji postaci sztuk teatralnych?

– **Gdzie szuka pani materiału do budowy roli?**

– Dobry autor dostarcza go w całości wystarczającej ilości. A aktor musi mieć wyobraźnię, bez niej nie można być aktorem. I nie trzeba.

– **Kiedy ma pani świadomość, że praca nad rolą jest już zakończona?**

– Gdy nie mogę już „skoczyć” wyżej. Zresztą nigdy nie przeskakuję samej siebie, to niedobra droga. Pełna lichoty fałszów i sztuczności wszelkich.

– **W którym momencie pracy jest pani niezbędny reżyser?**

– Zawsze chyba najwłaściwiej mieć dobrego reżysera we wszelkich momentach. Byle zauważył opracowanie całości, a nie poszczególne kawałki. Te przypadkowe „strzały” kawałków nigdy chyba nie tworzą, oprócz rumoru.

– **Kiedy pojawia się to, co można nazwać przeżyciem aktorskim? Co to jest „przeżycie aktorskie”?**

– Może niekiedy przeżyciem do-
brym czy złym jest reakcja widowni (może i publiczność ma jakieś złe czy dobre przeżycia)? Dawniej przeżyciem aktorskim, co się zowie, były dla nas występy razem z wielkimi aktorami. Zdaje się, że obecnie wszyscy uważają się za wielkich i nikt nie robi żadnego wrażenia, i nic jakoś nie można przeżyć. Wszelkie uroki „na deskach teatru” – zaginęły. Tak zresztą, jak i wszelkie proporcje potrzebowały się nieogłędnie.

– **Czy ma pani ulubionych autorów (ulubiony typ dramatu, teatru), którzy dają pani większe możliwości artystyczne?**

– Oczywiście. Najwięksi twórcy wielkiego repertuaru, wiecznie żywi. Cały świat się nimi wykarmił.

– **Którą ze swych ról uważa pani za najważniejszą aktorsko?**

– Każdą, gdy ją kształtuje... Później wszystkie odchodzą, rozpryskują się jak szklane światy. Nie wracam do nich – czasem z żalu, że się skończyły. To tak, jak i niektóre lata życia, gdy się doznało wielkiej straty. Stąd poczucie krzywdy.

– **Czy zdarzało się pani w życiu tak, że aktorstwo przydało się pani także poza sceną?**

– Nie chcę o tym myśleć! Tyle tego złego aktorstwa obserwuje się teraz w życiu, że wystarczy. Zresztą mam za słaby umysł, aby kłamać czy grać „różne role” w życiu. Mogłyby mi się przecież popłatać. Dlatego niezmiennie zawsze trzymałam się jednej prawdy. Mojej własnej – bez chorobliwych skakanek, grania „różnych ról”. Scena mi wystarczyła.

**Rozmawiała
TEMIDA**

L. STANKIEWICZÓWNA



„Maria Stuart” Fr. Schillera (Teatr Narodowy).

fol. E. HARTWIG